



Bożenna Wójcik

część I z III

Sygnatura notacji: **N1594**

Data urodzenia: **10.01.1949 r.**

Data nagrania: **23.09.2021 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 80 min, część III: 19 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bożenna Wójcik: Nazywam się Bożenna Wójcik. Urodziłam się 10 stycznia 1949 roku w Warszawie i całe życie związane jest z tym miastem. Wywiad, którego udzielam dotyczy mojej matki Zdzisławy Wójcik. Mama urodziła się w Krakowie. Urodziła się 26 stycznia 1915 roku, ale w Krakowie przebywała tylko kilka lat, ponieważ w roku 1920 przeniósł się do Poznania. Było to związane z tym, że jej ojciec, profesor geologii na Uniwersytecie Jagiellońskim, dostał propozycję objęcia katedry w Poznaniu i wzięcia udziału w tworzeniu nowego, po I wojnie światowej, Uniwersytetu w Poznaniu. Należał do takiej grupy, którą się nazywało fundatorami, chociaż oni nie dawali swoich pieniędzy, ale nazywało się fundatorami tegoż Uniwersytetu. Dziadek zmarł w 1937 roku w Poznaniu, natomiast mama się w Poznaniu kształciła, zarówno szkoła podstawowa, średnia. Średnia to było Gimnazjum im. Generałowej Zamojskiej w Poznaniu i Uniwersytet Poznański. Na Uniwersytecie Poznańskim skończyła dwa wydziały studiów, rolnictwo w zakresie ogólnej uprawy roślin oraz botanikę na Wydziale Biologii. Uzyskując magisterium z jednego i z drugiego, z rolnictwa miała również tytuł inżynierski. Po magisterium dostała stypendium Uniwersytetu Poznańskiego, ponieważ nie było w tym czasie etatu, ale dostała takie stypendium na pracę naukową. I zapowiadało się, że prawdopodobnie jak się uda zdobyć etat, to będzie pracownikiem tego Uniwersytetu. Ale ponieważ to nie było pewne, załatwiła pracę i od 1 września 1939 roku miała objąć, może nie tyle stanowisko, miała po prostu zacząć pracę w Gimnazjum Urszulanek w Poznaniu jako nauczycielka biologii. No i nie objęła tego stanowiska, bo wojna się zaczęła. 2 albo 3 września, co nie jest pewne, opuściła Poznań ze swoim narzeczonym, który przyjechał do domu mojej babci i powiedział, że on ją zabiera, ponieważ on musi uciekać z Poznania, ponieważ jest przekonany, że jest na listach proskrypcyjnych niemieckich. I oni... babcia powiedziała, że: „Czekałam od wczoraj na ciebie”, bo uważała też, że oni powinni wyjechać. No i się okazało, że ona moją mamę spakowała, była przygotowana do tego, dała mamie

spakowane rzeczy i nie pozwoliła jej nawet wejść na górę w domu i pożegnać się z babcią, czyli moją prababcią. No i to jest oczywiście bardzo trudne dla mnie, ale ta podróż, bo tak to właściwie trzeba nazwać, w zawierusze początku II wojny światowej z Poznania zawiodła moją mamę i jej narzeczonego, który nazywał się Mieczysław Stein, zawiodła ich aż do Lwowa. To były bardzo duże problemy po drodze. Pociąg, w którym jechali, został zbombardowany gdzieś chyba w okolicach Kutna. Przy okazji uciekając z tego bombardowanego pociągu, oczywiście cały ten bagaż przez babcię spakowaną, w którym było bardzo dużo zresztą cennych rzeczy i dokumentów z domu. To wszystko przepadło. Potem była bombardowana Warszawa, wychodzenie z Warszawy łącznie z tymi, którzy na rozkaz Umiaostowskiego opuszczali Warszawę i było iście na wschód. Przekroczyli Bug i skierowali się na wschód. To były w kierunku Sarn, Kostomłotów, a potem do Lwowa. We Lwowie się zatrzymali u przyjaciół mamy mojej. To znaczy to był dom rodziców mojej mamy koleżanek z gimnazjum i z drużyny harcerskiej, które wyjechały do Lwowa w momencie, kiedy ich ojciec poszedł na emeryturę i po prostu uznał, że wraca do siebie, bo on tak samo jak mój dziadek przyjechał po I wojnie światowej w grupie ludzi, którzy... Wielkopolska miała niedobór osób z wyższym wykształceniem i fachowców z różnych dziedzin. I wielu ludzi z Małopolski, z dawnej Galicji, gdzie był nadmiar inteligencji, przyjechało do Wielkopolski obejmować różne stanowiska, brać udział w organizowaniu szkolnictwa polskiego i tak dalej. I oni wrócili i tam się mama zatrzymała, bo w domach rodzinnych, do których poszli zarówno mojej mamy, jak i jej narzeczonego, bo krewnych mieli tam we Lwowie, no nikt im nie zaproponował noclegu. Tak że oni się tam zatrzymali i tam ponad pół roku byli z tą rodziną. To była rodzina Skórskich, wspaniałych ludzi. No i w którymś momencie w czerwcu 1940 roku, w samym końcu 28. czy 29., ale raczej chyba 28 czerwca, NKWD przyszło aresztować państwa Skórskich. Na mamy oczach najmłodszy z braci, bo to było duże rodzeństwo, najmłodszy z braci uciekł na mojej mamy oczach przez okno w łazience z mieszkania. Natomiast druga córka była w kolejce po chleb, była poza domem. No i była najstarsza córka i średni brat w domu, i mama, i mamy narzeczonego. Chociaż mama i mamy narzeczonego nie byli na liście, bo nie byli jakby formalnie tam zameldowani, ale oni się od razu zorientowali, że są wszyscy w tej samej sytuacji, jako ludzie, którzy nie przyjęli paszportów sowieckich. W związku z tym zostali wszyscy zabrani. Zabrani zostali do kościoła świętej Marii Magdaleny na taki punkt zborny, z którego właśnie przy rozładowywaniu ciężarówek mamie i mamy narzeczonemu udało się uciec. Oni przeczekali noc w parku, potem poszli gdzieś do kogoś z krewnych, kto im poradził, żeby się ukryli na Kulparkowie, gdzie był szpital psychiatryczny i w ogrodach tego szpitala tam się ukrywali. No a jak rano wyszli na ulicę, zostali przez sowieckich żandarmów zwinęci. Jeszcze w trakcie tego dnia, kiedy po tej nocy takiej w parku, to poszli na dworzec, bo dowiedzieli się, że pociągi, w których ci zesańcy już są zawiezieni, to stoją jeszcze na peronie i podeszli tam, tak jakby wielu mieszkańców Lwowa do tych ten, państwo Skórscy ich wypatrzyli i nawet wyrzucili przez okno plecaki, które były mojej mamy i jej narzeczonego przez ten, bo te plecaki w tym kościele zostały. No i oni to dostali, ale niestety następnego dnia zostali zaaresztowani. Jest charakterystyczna sprawa, że ten dowódca tego patrolu zapytał, właściwie nie odzywał do mojej mamy, tylko do tego narzeczonego, zapytał po rosyjsku: „Kim ona jest dla ciebie?”, to znaczy... a on powiedział: „Żena”, chociaż to nie było prawda, bo to była jego narzeczoną formalną. Natomiast on uznał, że to będzie bezpieczniej, że po prostu inaczej może ich rozdzielić, a tak to może się uda, że będą razem. No i to zresztą ma swoje konsekwencje do dzisiaj, ze względu na to, jak jest zapisana w Indeksie Represjonowanych. I zostali załadowani też w pociąg, ale już oczywiście całkiem inny pociąg, więc pojechali całkiem gdzie indziej niż państwo Skórscy. Zostali wywiezieni na północ do obwodu archangielskiego. To są okolice bliższe Wołogdy. Na takiej mapie Gurjanowa, na której są zaznaczone wszystkie posiołki w obwodzie archangielskim, to jest posiołek numer

89 Ustyliszczce, to znaczy ujście Ileszy, ujście tej rzeki do Piniegi, a Piniega to dopływ Dźwiny. Więc oni się tam znaleźli. Po dwóch miesiącach, niecałych chyba, tego pobytu, tam oni uciekli z tego posiołka. Szli przez tajgę ponad miesiąc. To się tragicznie skończyło. On umarł. Ona wyszła do ludzi, prosić, bo to już był początek października, tam już był śnieg, żeby jej ludzie pomogli go pochować. I tak się zaczęła jej peregrynacja przez 7 różnych aresztów tymczasowych i więzień. Ostatecznie w Archangielsku, złądowała w tym wielkim więzieniu w Archangielsku. Tam była ciągle przesłuchiwana, długo tam była. Jak ją zwolniono w którymś momencie, to dostała nakaz pracy w ogrodach Archangielska. Po pewnym czasie, jak się zaczęła jakby inwazja, inwazja w okolice Murmańska, to wysłano ją z kobietami innymi z Archangielska do budowy dróg na półwyspie Kola w okolicach Murmańska. No i dopiero jak stamtąd wróciła gdzieś w grudniu 1941 roku do Archangielska, z powrotem do tych ogrodów i tam dalej pracowała, to ktoś po pewnym czasie jej powiedział, że w mieście jest jakaś instytucja polska, że tam gdzieś chodzą Polacy. No i udało jej się, bo wtedy już jak wróciła spod Murmańska, to już miała prawo po mieście chodzić. Nie wolno jej było opuścić miasta, ale wolno jej było chodzić po mieście. I ona znalazła to miejsce, to się okazała delegatura naszego poselstwa, czyli naszej ambasady, dzisiaj mówimy o tym konsulaty, wtedy się mówiło delegatury. No i tam poszła i nawiązała kontakt bliski z tą instytucją. Przychodziła tam potem wielokrotnie, tam też poznała osobę, z którą się bardzo zaprzyjaźniła, była to pani Regina Majdańska. Jak się później okazało, to była żona takiego znanego pisarza katolickiego, a bratowa biskupa Majdańskiego. Ale to wszystko się okazało dopiero wiele, wiele później. I po pewnym czasie, w marcu 1942 roku, delegatura zaproponowała jej pracę u siebie i wtedy wyreklamowali ją z tych ogrodów miejskich. Natomiast mama zdołała właśnie z pomocą delegatury, ale głównie chyba już własnym autorytetem w tych ogrodach wyprosić pracę dla pani Majdańskiej na jej miejsce. To była osoba, która przyjeżdżała do tej delegatury z jakiegoś posiołka pod Archangielskiem. Straciła jedno małe dziecko, tam pomarli jej rodzice, natomiast miała dwóch małych chłopców. Z jednym z tych małych chłopców, dzisiaj emerytowanym profesorem KUL-u, no jestem w kontakcie. Pracowała tam trzy miesiące w delegaturze, po czym aresztowano ją 29 czerwca 1942 roku, razem z całym personelem tejże delegatury. Był to dzień, kiedy podobno na terenie całego Związku Radzieckiego aresztowano personel wszystkich naszych delegatur. To już było po decyzji, że armia generała Andersa wychodzi ze Związku Sowieckiego, że te stosunki dyplomatyczne są zrywane. Po tygodniu czy 10 dniach, tego nie jestem pewna, bo kiedy ja się o tym od mamy dowiadywałam, to ona już sama nie była tego pewna. To ich zwolniono, kazano im podpisać dokument, że opuszczą Związek Radziecki i nigdy tam nie wrócą. Więc oni to z wielką przyjemnością podpisali. No i wyjechali. Wyjechali jako cały personel delegatury. Był postój w Kujbyszewie, gdzie w tym czasie była już polska ambasada ewakuowana z Moskwy, bo Moskwa była oblężona. Natomiast może jeszcze wrócę do jednej rzeczy, która jest istotna. W delegaturze jednym z głównych zadań w Archangielsku, które mamie powierzono i nad którym pracowała, to była kartoteka zgonów. To znaczy ona zbierała informacje, które przychodziły z posiołków, z tych miejsc, gdzie byli zesłani polscy obywatele. Nie mówię o Polakach, bo większość była Polakami, ale to byli polscy obywatele, ponieważ też byli różnej narodowości. To wszystkie informacje, które przychodziły, prowadzona była w delegaturze ta kartoteka zgonów. I to było główne mamy zadanie. Jak przebywali... potem jak przyjechali do Kujbyszewa, to oczywiście jako personel delegatury meldowali się w poselstwie, czyli my dzisiaj mówimy w ambasadzie. Tam też składali te wszystkie dokumenty i nie wiem czy ona jeszcze to dalej miała tam za zadanie, bo oni tam przebywali przez pewien czas. To też nie jest do końca jasne, bo tam wszędzie były jakieś takie postoje, czekania na różne rzeczy, więc nie wiadomo. Tam im wyrabiano dokumenty. Ja mam nawet ze sobą tutaj paszport mamy, który w Kujbyszewie był wydany, jej. I poza tym tam mama miała dostęp do kartotek tych naszych zesłańców i zaczęła

szukać rodziny państwa Skórskich. To była pierwsza rzecz, która była dla niej. I znalazła tylko tę najstarszą córkę z tej rodziny, czyli Kazimierę Skórską. I tam było zanotowane, że ona wyjechała z jakimiś transportami tam już rodzin wojskowych, że wyjechała ze Związku Radzieckiego. Natomiast o rodzicach i o bracie nie było żadnych informacji. I oni potem z Kujbyszewa skierowani zostali do Aszchabadu i z Aszchabadu wyjechali już w kierunku granicy perskiej, którą opuszczali drogą lądową, czyli tą drogą, którą część cywilów wyjeżdżała. Natomiast większość, znaczy wojsko i większość cywilów opuszczała Związek Radziecki drogą morską przez Morze Kaspijskie od Krasnowodzka do Pachlewi w Iranie. Chociaż oni wtedy już była formalnie, to był już nazwa Iran obowiązywała, ale wtedy wśród tych zesłańców i władz naszych jeszcze się mało kto przyzwyczaił do tej nazwy i oni wszyscy używali, że jadą do Persji. Natomiast mama opuszczała drogą lądową. To było tak, się nazywało, że wyjedzie się z Aszchabadu do Meszhedu w tym wschodnim Iranie. Natomiast przejście graniczne to było Gaudan-Kuczan. Gaudan był po stronie sowieckiej, a Kuczan po stronie perskiej. To była droga lądowa przez bardzo wysokie góry, bardzo trudna, ciężarówkami, które już po stronie perskiej Persowie prowadzili, serpentyny w górach, które podobno mroziły krew w żyłach. Widziało się jakieś samochody leżące w przepaściach, które kiedyś tam spadły. Po dotarciu do Meszhedu dowiedzieli się, że jeden z polskich samochodów z dziećmi też tam spadł. Na cmentarzu w Meszhedzie są upamiętnieni i pochowani. I tam w pewnym sensie skończyła się praca w delegaturze. To znaczy w Meszhedzie mama się zarejestrowała w Polskim Czerwonym Krzyżu do opieki nad dziećmi i miała mieć funkcję takiego kierownika transportów dzieci z Meszhedu do Teheranu. I jeden taki transport poprowadziła z dziećmi. To było też bardzo trudne, bo również to było ciężarówkami w bardzo ciężkich warunkach. Ten przejazd do Teheranu, ponieważ Teheran był głównym punktem zbornym zarówno dla wojska, jak i dla cywilów, którzy opuszczali Związek Radziecki w 1942 roku. Tam zorganizowanych było co najmniej pięć obozów cywilnych. Chyba cywilnych było pięć, ale jeszcze były wojskowe. To nie wiem, w tym się już nie orientuję, w tych wojskowych sprawach. W każdym razie po krótkim czasie dostała... oni w którymś z tych obozów zostali, nawet nie wiem czy w drugim, czy w trzecim, bo to też były jakieś kontrowersje co do tego, zostali umieszczeni, ale dostała dosyć prędko wiadomość, że ma się zameldować w poselstwie polskim, czyli w ambasadzie polskiej w Teheranie, ponieważ Minister Pełnomocny na Wschód, czyli profesor Stanisław Kot, wzywa ją imiennie na rozmowę. Było to dla niej bardzo dziwne, ale oczywiście się natychmiast tam zameldowała. I ona to bardzo w swoich relacjach, które zostały nagrane, bardzo to szczegółowo opisuje, ale najważniejsze z tej rozmowy to jest to, że on się na samym początku tej rozmowy jej spytał, jak ona weszła do pokoju, gdzie on przyjmował, „Czy pani siostra jest Rączkowska?”. A ona mówi, że tak, że w 1939 roku w lipcu Wiesia, czyli jej starsza siostra, ona miała siostrę i dwóch młodszych braci, siostra była starsza, wyszła za mąż za Stanisława Rączkowskiego. A on mówi: „Aha, a czy pani jest też harcerką?”. A ona mówi: „Tak, jestem harcerką”. „No to dobrze, to będziemy rozmawiać”. Dlaczego on się o to w ten sposób zapytał? Profesor Stanisław Kot, oprócz tych funkcji politycznych, bo był ambasadorem w tym Kujbyszewie, potem się ewakuował do Teheranu. I w Teheranie to jego stanowisko ministra pełnomocnego na wschód, to było głównie wykorzystywane do tego, że on kolekcjonował kadry pedagogiczne i wszelkie inne kadry dla tej ludności cywilnej, która wychodziła razem z armią Andersa ze Związku Radzieckiego. Z tymi ludźmi coś trzeba było zrobić. Były rodziny wojskowych, czyli żony, siostry, matki, dzieci, ale wychodziły też całe sierocińce, bo przy armii wszyscy oni się gromadzili, odkąd tylko do kogo dotarła wiadomość, że tworzy się Polska Armia w Związku Radzieckim, no to dążyli na południe, tam gdzie ona się tworzyła, szukali jej, ale po drodze się często gubili i często... było bardzo dużo dzieci, które albo rzeczywiście były sierotami, bo potraciły rodziców, którzy pomarli, albo były to pozorne sieroty, bo po prostu dzieci pogubione. I w tych transportach, w tym wszystkim, albo

dzieci, których jakiś ojciec czy starszy brat poszedł do wojska i dzieci zostawały bez opieki. To były też całe sierocińce i dla tej całej ludności cywilnej trzeba było na resztę wojny, tak wtedy myślano, zorganizować jakoś życie i to była główna troska i główne zadanie, które miał profesor Kot, a on z zawodu był profesorem pedagogiki z Uniwersytetu Jagiellońskiego. I on zna... a poza tym miał chyba dwie córki, które były bardzo zaangażowane w harcerstwo, a poza tym on chyba brał udział w tej takiej radzie harcerstwa przed wojną. I on bardzo dobrze znał przedwojenną kadrę harcmistrzów, czyli tych najwyższej rangi harcerzy w Polsce. Mojej mamy szwagier, ten Stanisław Rączkowski już przed wojną był harcmistrzem i wiadomo było, że też wysoki, ale chyba wtedy podharcmistrza stopień miała mama starsza siostra, była także... on znał to środowisko i on po prostu prawdopodobnie przez swoje córki wiedział o tym, że panna Wiesława Wójcikówna, zresztą znanego jemu profesora geologii z tegoż samego Uniwersytetu Jagiellońskiego kiedyś, wyszła za mąż za niejakiego Stanisława Rączkowskiego, też harcerza, harcmistrza. W związku z tym on podejrzewał, jak zobaczył na liście Zdzisława Wójcik, to on nawet nie był pewny wtedy, czy tamta to się nazywała Wiesława czy Zdzisława, bo to bardzo podobnie brzmi. I dlatego postanowił sprawdzić kim jest ta osoba, bo pytał podobno delegata, kim ona jest, a on, delegat powiedział, że: „Ja nie bardzo mogę powiedzieć, ale wiem, że córka jakiegoś profesora”. I jak to usłyszał, to on postanowił z tą osobą porozmawiać. No i rozmowa była nie jedna, były dwie bardzo długie rozmowy. Mama mówiła, że pytał tak szczegółowo i że to było wręcz przesłuchanie, dużo bardziej szczegółowe niż robiło przesłuchanie NKWD na którymś tam piętrze w turmie w Archangelsku, chociaż też bardzo podobno inteligentnie i bardzo, bardzo ostro i bardzo szczegółowo ją spowiadali. Ale mówiła, że profesor to robił jeszcze lepiej. I po jednej bardzo długiej rozmowie powiedział jej, że ma przyjść na następną rozmowę, a jak przyszła na tę drugą rozmowę, to jej powiedział, że: „Proszę napisać teraz pismo, że pani się zwalnia z Polskiego Czerwonego Krzyża, ponieważ tutaj dostała pani nowe zadanie, bo dostanie pani nowe zadanie, które my tu wyznaczamy. Pani pojedzie do Afryki i pani obejmie komendę nad polskim harcerstwem w Afryce. Ona nigdy nie miała ani tak zwanego parcia na szkło, jak my w dzisiejszych czasach mówimy, ani ambicji do zajmowania stanowisk. Ona miała usposobienie naukowca i harcerza, ale harcerza od działania, a nie od dowodzenia. I w momencie, kiedy dostała taką propozycję, a właściwie nie tyle propozycję, prawie rozkaz, to ona była wręcz przerażona tym. „Jak to, ja mam objąć? Przecież ja nigdy takich funkcji nie pełniłam”. I oczywiście ona to już w tym wywiadzie mu powiedziała, jakie funkcje pełniła, co można tutaj dopełnić tym, że w gimnazjum była harcerką od pierwszego dnia, kiedy drużyna harcerska powstała w jej gimnazjum. Na uniwersytecie należała do Akademickiego Koła Harcerskiego. Po krótkim czasie zaczęła... wezwano ją kiedyś do Komendy Chorągwi Wielkopolskiej w Poznaniu. Zresztą pomyłkowo, bo myślano, ktoś właśnie pomylił te imiona Wiesława czy Zdzisława. No i wezwano ją, ale jak się wyjaśniło, że to chodziło o jej starszą siostrę, a nie o nią, ale doszli do wniosku, że ona się też przyda. No i zaczęła pracę w wielkopolskiej komendzie. I tam była... uczestniczyła w bardzo wielu kursach instruktorskich, kształciła się po prostu coraz więcej i pracowała. Ale pracowała w zakresie programowym. I to akurat pasowało do jej usposobienia, takiego właśnie, bym powiedziała, przyszłego naukowca, że pracowała nad programami. Jeździła po Wielkopolsce, wizytowała drużyny harcerskie, pomagała w kursach instruktorskich, już tych niższego szczebla, sama brała już udział w kursach wyższego szczebla. No i w momencie wybuchu wojny miała stopień drużynowej po próbie. Nie miała jeszcze wyższych stopni harcerskich, ale była właśnie takim instruktorem programowym, który już był też i na wielu zjazdach, zlotach przed wojną. Była tak obeznana z pracą harcerską, z metodologią, z wszystkim tym, co jest istotą harcerstwa. Ale nie prowadziła drużyn, nie prowadziła hufca. Dlatego ta propozycja profesora była dla niej nieprawdopodobnym zaskoczeniem i spowodowała ciężkie przerażenie. Zaczęła się tłumaczyć, że dlaczego ona, bo ona

nie prowadziła pracy organizacyjnej. A profesor powiedział, że: „Pani ma najwyższy stopień z kobiet, harcerek, które my tu mamy na wschodzie, pani ma najwyższy stopień nadany przed wojną przez komendę harcerek. My tu mamy już niektóre nawet mają podharcemistrzowskie stopnie, ale to są stopnie nadane już przez wojsko, w tych tutejszych. To nie jest to, co rzeczywiste stopnie z kraju, z komendy harcerek. Przed wojną harcerstwo było podzielone, była oddzielna komenda harcerek, oddzielna komenda harcerzy. I trochę był inny profil organizacji żeńskiej. I kiedy ona się dalej broniła, to profesor użył podobno takich argumentów, że jak na wojnie ginie oficer, to komendę przejmuje podoficer, a jak zginie podoficer, to przejmuje ten szeregowy, który ma odwagę, siłę i umiejętność przejścia komendy. I po prostu ją przejmuje. I pani pojedzie do Afryki, przybiję pani do jakiegoś drzewa, nie wiem, do akacji, do babobabu, przybiję pani kartkę »Komenda harcerstwa polskiego w Afryce«. Nie będzie nikogo z wyższym stopniem i nikt się nie sprzeciwi”. No i w ten sposób została mianowana i pojechała. Po pewnym czasie... oczywiście przygotowywała się do tego, musiała trochę... dowiedziała się właśnie, jak to wszystko będzie funkcjonować, że tam już są osiedla polskie, się tworzą, że tam będzie dużo właśnie dzieci, młodzieży, że oni są tutaj w Teheranie już uczeni piosenek harcerskich, dostają jakieś chusty, maszerują, ale oni nic więcej o harcerstwie nie wiedzą. W związku z tym pani pojedzie i będzie pani to jakoś ustawiać merytorycznie, jak to ma wyglądać. I tam będą szkoły, wszystko będzie, trzeba się tymi dziećmi, tą młodzieżą zająć. No i w związku z tym, ponieważ właśnie miała takie nastawienie, bym powiedziała, naukowe trochę do życia, więc ona po tym Teheranie do momentu, kiedy był już sygnał do wyjazdu, to chodziła i próbowała zebrać po księgarniach Teheranu trochę literatury, bo przecież nie miała nic poza tym, co na grzbiecie. Wyszła w jednej podartej sukience z tego Związku Radzieckiego. Natomiast próbowała, kupiła Atlas Świata brytyjski, próbowała kupić jakieś podręczniki w różnych językach. Co się trafiło w księgarniach. Od przedmiotów, na których się znała po prostu, ze swoich studiów albo zbliżonych tematycznie, bo zastanawiała się, że może będzie też uczyć, że nie tylko będzie prowadzić harcerstwo, ale będzie może też uczyć. W związku z tym interesowały ją wszystkie tematy, które były związane z biologią, geologią, geografią. To były przedmioty, na których ona się znała albo z domu, albo ze studiów, albo z tego, że hobby było jednak takie trochę też przedwojenne jej drużyny i jej takie trochę podróżnicze. Jej siostra chciała studiować geografę, więc takie było nastawienie domu. Więc szukała tych tematów, zgromadziła, gdzieś się udało kupić jakiś szary fartuch, który przerobiła sobie tak troszkę, żeby to wyglądało podobnie do munduru harcerskiego i z tym pojechała. Podróż do Afryki to była oczywiście też z wieloma postojami, jak zwykle w tych czasach wojennych, czyli przez Ahwaz, tam obóz przejściowy jeszcze na terenie Iranu, a potem już statkiem, którym popłynęła do Karaczi, dziś to jest w Pakistanie, wtedy to były Indie. Tam przez jakiś czas przebywała w takim obozie Country Club, gdzie Polacy przeczekiwali, czekając na następne statki i przeczekując na to, kiedy na Oceanie Indyjskim będzie spokojniej, ponieważ tam ciągle było zagrożenie łodziami podwodnymi niemieckimi i japońskimi. Trudno te wszystkie daty połączyć, kiedy, gdzie, natomiast takie daty graniczne, które są pewne, to jest 5 sierpnia 1942 roku, kiedy przekroczyła granicę do Persji, wyszła ze Związku Radzieckiego i 18 grudnia 1942 roku, kiedy zawinęła do portu w Mombasie, w Kenii. Tak że to wszystko, co się działo w Persji, plus ta cała droga do Afryki, to przeczekiwanie w Karaczi, to wszystko w tym czasie, w tych ramach czasowych się musiało zmieścić. I tam została skierowana do Nairobi, ponieważ w Nairobi, w stolicy Kenii była siedziba polskich władz na Afrykę. To znaczy delegatury, początkowo to było Ministerstwo Opieki Społecznej, a później się tam utworzyła również delegatura tego Ministerstwa Wyznań i Oświecenia Publicznego. I było tak, że była jakby zatrudniona w tych delegaturach jako taki referent, czy jak to nazwać, do spraw wychowania młodzieży i zaczęła się przygotowywać do tej funkcji objęcia komendy harcerskiej, co do pierwszej wizytacji. Natomiast formalny dokument, który był nomi-

nacją na tę funkcję komendantki harcerek z upoważnieniem do prowadzenia całości pracy harcerskiej na terenie Afryki, bo jednak harcerstwo jeszcze dalej starało się troszkę trzymać tego rozdzielenia żeńskiego harcerstwa od harcerstwa męskiego, więc to mianowano ją w tej żeńskiej, a tam dali upoważnienie. To taka nominacja ją musiała dogonić ona, ponieważ to musiało być wystawione już przez władze harcerskie, które były przy wojsku. W momencie kiedy ona opuszczała Teheran, to te władze wojskowe i władze harcerskie, które były przy tych komendach wojskowych, Armia Generała Andersa już poszła dalej, więc to wszystko musiało ją dogonić. To dostała trochę później. I przy okazji również nominację najpierw na stopień podharc mistrzowski, a później tam po dwóch latach chyba czy kiedy, dostała nominację na stopień harc mistrzowski. W każdym razie tam jej praca w Nairobi polegała na tym, że zaczęła przeglądać wszystkie rejestry ludności, która już została skierowana do poszczególnych polskich osiedli. Osiedli w Afryce powstało 22. Największe z nich, Tengeru w Tanganice, miało ponad 4,5 tysiąca mieszkańców. To jest naprawdę wielkość dobrego miasteczka. Niektóre osiedla były mniejsze, około 2 tysięcy, tysiąca, kilkuset mieszkańców. Osiedla były w sześciu krajach na terenie Afryki. Były w Kenii, w Tanganice, w Ugandzie, w Rodezji Północnej, dzisiaj to się nazywa Zambia, w Rodezji Południowej, dzisiaj to się nazywa Zimbabwe i w Związku Południowej Afryki, dzisiaj mówimy Republika Południowej Afryki. To była ogromna ilość, ponad 18 tysięcy, czyli można powiedzieć blisko 20 tysięcy Polaków znalazło się w Afryce. Duża część tego to były dzieci i młodzież. Młodzież była głównie żeńska, dlatego że chłopcy starsi na ogół jeszcze w Teheranie albo jeszcze w Związku Radzieckim poszli do szkół junackich. Natomiast małe dzieci i dziewczęta wychodziły jako ta ludność cywilna. Zresztą jeśli chodzi o szkoły junackie i w ogóle szkoły wojskowe, to z Afryki ci chłopcy, którzy pojechali do Afryki, ale w międzyczasie, bo tam siedziało się kilka lat, podrastali, to wielu z nich z Afryki jechało do wojska. Był też pobór stamtąd albo ochotnicze zgłoszenia, czy do szkół wojskowych jechali. Więc to była głównie młodzież, młodzież była głównie żeńska, no i dzieci były i chłopcy, i dziewczynki. No i zaczęły się jej jazdy. Przez ponad dwa lata, prawie trzy lata pierwsze jej pobytu w Afryce, to było właśnie prowadzenie całości tej pracy. Polegało to na tym, że jeździła na takie długie wizytacje do poszczególnych osiedli. Te wizytacje trwały po parę tygodni, czasem miesiąc, czy więcej i przyglądała się pracy harcerskiej, która już tam trwała. Prowadziła takie kursy. Zmieniała czasem kadre, wybierała osoby, które uważała, a odwoływała osoby, które uważała, że się nie nadają do tego prowadzenia, ponieważ często z braku fachowej kadry były osoby, które się wzięły za tę pracę, które bardzo mało o tym wiedziały i prowadziły to trochę czasem jak obóz karny albo wojsko. Po pewnym czasie widziała, że nie ma to nic wspólnego z harcerstwem. W związku z tym po tych kursach, które prowadziła, wybierała osoby, które jej zdaniem najbardziej się do tego nadawały. Oczywiście to czasem powodowało różne niesnaski, różne problemy, ale uważała, że po prostu to jest jej zadanie, tak musi być. I tak od osiedla do osiedla. Przemieszczała się w różny sposób tymi ciężarówkami, samolotami. Czasem... spotkało ją kiedyś coś takiego, że to były małe samoloty, więc one zabierały po kilka, kilkanaście osób i ludzi zabieranych do tych samolotów ważono, ponieważ trzeba było, żeby ten samolot udźwignął. Kiedyś przeżyła coś takiego, co było dla niej jakimś takim, strasznie ją to zdeprymowało, że był w kolejce pierwszy jakiś tam taki hinduski biznesmen, byśmy to dzisiaj nazwali, nie wiem jak to nazwać, ale w każdym razie ktoś. Bo bardzo dużo w tej wschodniej, tak zwanej dawnej wschodniej Afryce Brytyjskiej było bardzo dużo Hindusów, którzy prowadzili tam handel, różne instytucje i on wchodził tam, ale potem go odsunęli na bok i mama weszła na wagę i powiedzieli tak: „Pani wchodzi do samolotu, pan nie wchodzi”. Chodziło o to... a ona oczywiście po tej Rosji była chuda jak szczapa i oczywiście żadnego bagażu wielkiego nie miała poza małą torebką czy małym plecaczkiem. W związku z tym zawsze się mieściła w takie miejsca. No więc to były setki, a czasem tysiące kilometrów, które trzeba było przemierzać przez tę Afrykę

od tych osiedli. Nie udało jej się tylko dotrzeć do części osiedli w Rodezji Południowej i do tego jedyne osiedla, które było w Afryce Południowej. Natomiast osiedla w Kenii, Tanganice, Ugandzie, Rodezji Północnej to wszystkie wizytowała. Jak skończyła się wojna, a właściwie jak się zbliżała do końca wojna, to z komendy harcerskiej, tak zwanej komendy na wschodzie, przysłano tak zwaną grupę instruktorów, taką wizytacyjną. To kierownikiem jakby tej całej inicjatywy wysłania tych instruktorów w miejsca, gdzie była ludność polska, czyli w większej ilości, to znaczy do Indii i do Afryki był druh Szatkowski, który właśnie w komendzie harcerstwa na wschodzie tym się zajmował i wysłał tych instruktorów. Do Indii pojechało dwóch. Pojechał Zdzisław Peszkowski, którego znamy jako późniejszego księdza prałata Zdzisława Peszkowskiego. Wtedy był porucznikiem czy podporucznikiem w wojsku, ale był przedwojennym instruktorem zuchowym. Natomiast... i druha Pancewicza, oni pojechali do Indii. Natomiast do Afryki pojechała większa grupa, bo w Afryce było znacznie więcej polskiej ludności, tych osiedli rozrzuconych zresztą po tych sześciu krajach. To pojechali, był druh Wiktor Szyryński, był Ignacy Koziół, był Zenon Słowikowski. Jeszcze był Romuald Rzędzian kolejnym instruktorem. To jest ta książeczka, o której mówiłam. Wydana w 1997 roku w Londynie, gdzie mama opisała, to się nazywa „Afryka lat 40. we wspomnieniach instruktorki harcerskiej”. I tam opisała właśnie jak to się stało, że została jej powierzona taka funkcja. Chciała też przedstawić innych, którzy prowadzili to harcerstwo w Afryce. I kiedy właśnie przyjechała ta grupa instruktorska do Afryki, oni zaczęli organizować kursy, takie większe kursy instruktorskie. I wtedy mama poprosiła o zwolnienie z funkcji kierowania całością pracy w Afryce. I zostały podjęte takie decyzje. Cała ta komenda chorągwi początkowo afrykańskiej została podzielona najpierw na dwie części, potem na więcej. I po kolei się to pooddziałały, te jednostki harcerskie potem już były w poszczególnych krajach. I poprosiła moja mama o oddelegowanie, brała udział w tych kursach instruktorskich początkowo, natomiast poprosiła o oddelegowanie do największego polskiego osiedla w Afryce, że chciałaby podjąć pracę nauczycielki, do czego uważała, że została przed wojną przygotowana. Miała to podjąć 1 września, to się nie udało i chciała zacząć uczyć. I rzeczywiście tak się stało. Została skierowana do osiedla Tengeru w Tanganice i tam zaczęła uczyć w gimnazjum, w liceum ogólnokształcącym, w liceum kupieckim i prowadziła hufiec miejscowy. Oczywiście jak się ten podział tej chorągwi afrykańskiej odbywał się stopniowo, no to była przez pewien czas komendantką na część właśnie dotyczącą Tanganiki, Kenii i Ugandy, potem na całą Tanganikę, a potem już tylko prowadziła hufiec w Tengeru. I zaczęła uczyć. I to była jej wielka pasja. I prowadzenie hufca miejscowego, czyli znacznie taki bliższy kontakt z młodzieżą, był dla niej wręcz fascynujący, tak jak ja to dzisiaj odbieram. Natomiast jeszcze jako taką ciekawostkę, a może z drugiej strony informację. Powiem, że w tym czasie, kiedy jeździła po tych różnych osiedlach, to kiedy znalazła się w osiedlu w Ugandzie, to między innymi w ramach tego wybierania dziewcząt na te funkcje instruktorskie, to wybrała na zastępową panią Karolinę, późniejszą Kaczorowską, która to w swoich wspomnieniach przypominała i uważała to za największe szczęście, jakie ją w życiu spotkało, że właśnie mama ją wtedy zauważyła. Tak że to mi sama mówiła także kilka lat temu, kiedy miałam możliwość się z nią spotkać, a w tym roku teraz, kilka tygodni temu, odeszła. Tak że tak to wyglądało, takie były skutki, można powiedzieć, tej działalności. Natomiast największe przyjaźnie, takie najbliższe kontakty, które się zawiązały w Afryce, to się zawiązały właśnie w Tengeru, w czasie kiedy uczyła w gimnazjum, liceum i prowadziła harcerstwo miejscowe. I te kontakty przetrwały do końca jej życia. Co było istotne dla niej osobiście, to że w momencie, kiedy to jeszcze cofnę jakby do tego Teheranu, to w Teheranie moja mama znowu poszukiwała tej rodziny państwa Skórkich i się dowiedziała, że najstarszy syn jest w wojsku, w armii Andersa, który nie był aresztowany razem z nimi w domu, bo go wtedy nie było w domu, ale potem gdzieś był indziej, tego już nie wiem, aresztowany. Natomiast, że ta najstarsza córka już wyjechała do Afryki. W związku z tym, jak ona przyje-

chała do Afryki, to będąc w Nairobi, znowu jej szukała, dowiedziała się, że ona jest w Masindi w Ugandzie. I w momencie, kiedy wizytowała w Masindi, to one się dopiero mogły spotkać. A później, po tych kilku latach, kiedy mama pojechała do osiedla Tengeru, już nie na wizytację, ale na pracę, to się okazało, że ta jej przyjaciółka, Kazimiera Skórska, jest już też w Tengeru i uczy, i potem uczyły przez kilka lat w jednej szkole i mieszkały w jednym pokoju, w jednym małym domku. W sumie pobyt w Afryce mojej mamy, to było blisko 6 lat. Dobrze, niecałe, ale blisko 6 lat była w Afryce. Afrykę opuściła w 1948 roku. To już był taki czas, kiedy zaczynano likwidować polskie osiedla. Ten proces był takim, rzeczywiście procesem i on trwał przez pewien czas. Wyglądało to w ten sposób, że najpierw likwidowano najmniejsze osiedla, ponieważ stopniowo polska ludność wyjeżdżała. Wyjazdy były w różnych, powiedziałabym, kierunkach. To znaczy, część osób decydowała się na wyjazd do Polski, ale to było niewiele osób, które się decydowały na wyjazd do Polski, ponieważ większość tej ludności, która znalazła się w takim miejscu jak Afryka, ale również dotyczyło to wszystkich innych, którzy jako ta ludność cywilna opuścili Związek Radziecki i zostali rozestani po świecie. Ja o tym nie mówiłam wcześniej, ale to oprócz Afryki i Indii, to było jeszcze jedno osiedle na Nowej Zelandii, było jedno osiedle w Meksyku, gdzie wywieziono polską ludność i były osiedla na Bliskim Wschodzie. To znaczy, w pewnym sensie jako osiedle traktuje się zakłady, szkoły w Isfahanie, a potem na terenie Palestyny i Libanu, gdzie była stopniowo przenoszona ta nasza ludność, a szczególnie młodzież, która się kształciła w szkołach junackich i w szkołach średnich na Bliskim Wschodzie. I ta znaczna większość tej ludności polskiej to byli ludzie pochodzący z Kresów Wschodnich, bo tych deportowano. Nie wszyscy, bo część była tak zwanymi bieżącami z początku wojny, tak jak moja matka, która była z Poznania, ale znalazła się na Kresach Wschodnich w ramach wędrówki początku wojny. Natomiast większość tej ludności to byli mieszkańcy, stali mieszkańcy Kresów Wschodnich. Po Jałcie, po Teheranie się okazało, że ich domy będą poza Polską, że to nie jest już Polska. Poza tym było już wiadomo, że Polska nie jest samodzielnym krajem, tylko jest... to różnie określano, czy pod okupacją, czy pod nadzorem, ale w każdym razie, że Sowieci mają tam coś dużo do powiedzenia. I jak te wiadomości docierały do osiedli, to ludzie się po prostu bali. Poza tym uważali, że jak ich domu nie ma, oni nie mogą do domu wrócić, to dlaczego oni mają jechać do Polski, oni tam nikogo nie znają, oni tam nikogo nie mają. W związku z tym duża część nie decydowała się na powrót do Polski. Część osób, które miały kogoś w wojsku, czy to ojca, brata starszego, męża i kogoś, mieli prawo, bo takie prawo dali Brytyjczycy, że mogą jechać do Wielkiej Brytanii, do połączenia się z tymi swoimi członkami rodzin, którzy są w wojsku i potem razem podejmować decyzję, co dalej. I wiele osób, bardzo wiele osób, ci wszyscy, którzy mieli kogoś w wojsku, kto dotrwał do tego czasu, kiedy były likwidowane osiedla, bo niektórzy, którzy byli w tym wojsku, to niestety przepadli po drodze w bitwach, które ta armia prowadziła, czy to jeszcze w północnej Afryce, czy potem już na terenie Włoch przy zdobywaniu Monte Cassino, Bolonii, Ankony i tak dalej, to ci, którzy jeszcze kogoś mieli w tym wojsku, mieli prawo tam pojechać. Natomiast ci, którzy w korespondencji, która dzięki pomocy Polskiego Czerwonego Krzyża po wojnie jednak pozwała poznać się wielu osobom ze swoimi krewnymi i okazało się, że ktoś z krewnych jest na terenie Polski powojennej, no to niektórzy się decydowali jednak jechać do Polski. A kto się nie decydował, to tak się ociągał i myślał, że on tu zostanie, ponieważ oni sami nie mieli możliwości gdzieś pojechać. Ci, którzy jechali do wojska czy do Polski, to ich transport był finansowany przez władzę, a to byli ludzie, którzy nie mieli żadnych pieniędzy, oni nie mogli sobie kupić biletu i pojechać gdzie chcą. To było w ogóle niemożliwe. Więc część tych ludzi zostawała i te osiedla, które były mniejsze, były stopniowo, ponieważ ludności było coraz mniej, to ci, co zostawali, byli przenoszani do tych większych osiedli. I ostatnie w Tengeru, to duże osiedle w Tanganice, było takim ostatnim osiedlem, które było likwidowane. Dopiero... do 1950 roku ono w pełni działało, nawet tak jeszcze częściowo

wo w 1951 czy 1952 tam jeszcze się jacyś ludzie podobno uchowali, ale generalnie jakby w 1950 roku się dopiero kończyło. Moja mama wyjechała w 1948 roku, ale wyjechała nie do Polski, tylko wyjechała do Kanady. W Kanadzie znalazł się jej brat, który był w Wojsku Polskim. Na początku 1939 roku brał udział w słynnej bitwie nad Bzurą, bo był żołnierzem Armii Poznań, tak samo jak i drugi mamy brat, tylko najmłodszy brat zginął w bitwie nad Bzurą, a ten starszy przeżył. Uciekł z transportu do Oflagu i przeszedł potem przez Karpaty do Francji. Był w Wojsku Polskim we Francji. Nawet mamie się po wojnie udało znaleźć takie zdjęcie jego z obozu w Coëtquidan we Francji, a potem był ewakuowany z wojskiem do Wielkiej Brytanii. Brał udział w bitwie o Anglię jako artyleria przeciwlotnicza. I on po wojnie zdecydował się na emigrację do Kanady. I on w korespondencji z mamą mamę namówił do tego, żeby do niego do Kanady przyjechała. I to, że on był właśnie też z tego naszego wojska, to mama się mogła liczyć jako rodzina wojskowa, mogła mieć to prawo i zdecydowała się pojechać do Kanady. Jak dotarła do Kanady, to po krótkim czasie, przy wsparciu brata oczywiście, bo on już tam od pewnego czasu był w Kanadzie, to została zatrudniona. On był chemikiem, chemikiem metalurgiem, pracował wtedy już w hutach w Hamiltonie pod Toronto. Natomiast mama zatrudniona została na Uniwersytecie w Toronto w Departamencie Botaniki. No i zaczęła prowadzić prace doświadczalne w tym Departamencie. Wydawało się, że ona tam zostanie, ale ona się jednak w którymś momencie zdecydowała na powrót do Polski. W Polsce została ta jej starsza siostra, która przeżyła wojnę i przeżyła tę wojnę, i ona, jej mąż i jej córka, która się w czasie wojny urodziła. I moja babcia, czyli mojej mamy mama, i one były razem w Krakowie w czasie wojny. Mama się jednak zdecydowała wrócić. Wróciła w listopadzie, w końcu 1948 roku do Polski.